

Kaziu w czterech odstępach

AUTOR: MAREK GAJ

Lubię sobie wyobrażać, jak siedzi na krzeselku ustawionym na obłoku i przygląda się nam ze swym filuternym uśmiechem. 24 grudnia 2007 roku odszedł Kazimierz Borowiec.

Odstona pierwsza

Andrzej Wajda spojrział na scenę okiem malarza i powiedział: „Panie Kazimierzu, pan mi się jakoś plastycznie nie komponuje. Proszę zejść ze sceny”. Pan Andrzej nie lubił, gdy aktorzy psuli mu ładny obrazek. Kaziu posłusznie zszedł i schował się za kulisę. Schodził ze sceny ze swym filuternym uśmiechem, dobrze wiedział, co się za chwilę wydarzy. Kiedy przyszła jego kolej, wychylił głowę zza kulisy i powiedział swoją kwestię. Na to pan Andrzej: „Panie Kazimierzu, zrozumiałem! Pan jednak musi być na scenie!”. W 1988 roku Andrzej Wajda reżyserował w Starym Teatrze *Dybuka* – sztukę żydowską o duchu zmarłego kochanka, który nawiedza ukochaną. Wchodząc na widownię, zauważyłem Annę Polony. Był to znak, że coś nie gra. Przywitałem się, a pan Andrzej pozwolił mi zostać. Nie była to sztuka dla Wajdy; pani Ania pomagała. Próby ciągnęły się... Po próbie Kaziu przyszedł pocieszyć swojego mistrza: „Panie Andrzeju, niech się pan nie martwi. Lepszy dybuk w garści niż skrzypek na dachu”. Pan Andrzej się uśmiechnął. „Panie Kazimierzu, co dowcipne, to inteligentne!”

Odstona druga

Kazia Borowca poznałem w maju 1984 roku, gdy zostałem asystentem Andrzeja Wajdy przy realizacji *Zbrodni i kary* według Dostojewskiego w Starym Teatrze. Grał niewielką rolę Mieszczanina. Bliżej poznałem Kazia niedługo później we Wrocławiu na Festiwalu Teatrów Małych Form. Obaj braliśmy udział w konkursie: on pokazywał jeden ze swoich monodramów, my – Marek Kalita, Edek Żentara i ja – naszego *Raskolnikowa*. Kaziu siedział blis-

ko mnie w czasie dyskusji po jednym z przedstawień. Biała koszula, kolorowa apaszka, garnitur. Wyglądał jak chłop pańszczyźniany, który zakosił strój swojemu panu. Jego prezencja wcale nie szkodziła powodzeniu u płci pięknej. W pewnej chwili w ferworze dyskusji padło słowo „spektakl”. Wtedy Kaziu wstał z godnością. „Proszę państwa, ja w kwestii formalnej – powiedział – nie ma takiego słowa w języku polskim. Proszę mówić: przedstawienie, przedstawienie!” I z godnością usiadł. Dyskusja rozgorzała na nowo i, co było zresztą do przewidzenia, ktoś znowu użył słowa „spektakl”. Kaziu podniósł się odrobinę oburzony, lecz szybko się opanował i z dobrotliwym wyrazem twarzy szlachetnego obrońcy czystości języka polskiego oraz wielką powagą tudzież godnością zaprotestował: „Przedstawienie, proszę mówić przedstawienie!” – i znowu usiadł. Po czym uśmiechnął się do mnie szelmowsko: „Panie Marku, pan nie ma pojęcia, do jakich rzeczy ja jestem zdolny”. Dyskusja rozgorzała na nowo, jej temperatura wzrastała z minuty na minutę, zmierzając ku... No właśnie – wstał jakiś człowiek ubrany w niedbały strój i wybełkotał ni z gruchy, ni z pietruchy: „Ja bardzo państwa przepraszam, ale dlaczego nie zrobicie czegoś dla nas, dla roboty”. Wtedy Kaziu, korzystając z chwilowej konsternacji, wyprostował się i z właściwą sobie komiczną powagą i godnością powiedział: „Państwo pozwolą, mój kuzyn robot” – i dumny usiadł. „Panie Kazimierzu!” – skarciła go pani Rzeszowska, organizatorka festiwalu. Wtedy jakaś pełna empatii panienska, zawsze się znajdzie taka szlachetna i czysta dusza, zawołała z przekonaniem: „Ależ proszę pana! Pan nie jest żad-

nym robotem!... Pan też jest człowiekiem!”. „Robot jezdem, robot jezdem, robot – nie dawał się przekonać rzekomy kuzyn Kazia – robot – bełkotał płacząco – robot”. „Ależ nie!” – jęknęła empatyczna panienska, która nie lubiła nieprzyjemnych sytuacji. Są jednak pewne fakty, które każdy człowiek wie o sobie na pewno, odkąd jako osoba przestaje się utożsamiać z krajobrazem.

I tak oto głosem syna panującej wówczas klasy robotniczej skończyła się ta dyskusja o spektaklu, pardon, o przedstawieniu. A ja do dziś gubię się w domysłach, czy to był rzeczywiście kuzyn Kazia, czy też Kaziu, podobnie jak Zagłoba Rocha Kowalskiego, zaadoptował go do swojej rodziny po kilku piwach w pobliskim barze. Dyskutanci powoli opuszczali pomieszczenie przy żalonym skowycie „robot jezdem, robot...”, który długo jeszcze odbijał się od ścian budynku.

Odstona trzecia

Następne spotkanie z Kaziem odbyło się w średniowiecznej piwnicy przy ulicy Kanoniczej 7, przylegającej do Cricoteki Tadeusza Kantora. Byłem i nadal jestem zafascynowany geniuszem filozofii Sorena Kierkegaarda. Postanowiłem przenieść na scenę jego *Dziennik uwodziciela*, który w ramach przedmiotu filozofia ludzkiego dramatu na Wydziale Reżyserii PWST (obecnie Akademia Sztuk Teatralnych) analizował książkę profesor Józef Tischner. Adaptacja tego tekstu okazała się niezwykle trudna. Z pomocą przyszedł Marek Kalita, który napisał trzy niewielkie scenki – i wtedy doznałem olśnienia: przecież Kierkegaard był autorem *Powtórzenia*, w którym



fot. Ryszard Kornecki

Kazimierz Borowiec

zastanawia się, czy możliwe jest powtórzenie swej nieszczęśliwej miłości do Reginy Olsen tak, by skończyła się szczęśliwie. Miałem wreszcie pomysł na adaptację. Zdesperowany Kierkegaard wynajmuje aktorkę, aby dokonać próby „powtórzenia” wydarzeń z jego relacji z Reginą Olsen, by uwieść ją swoimi filozoficznymi przemyśleniami zawartymi w *Dzienniku uwodziciela*, sprawdzić na rzeczywistej, żywej dziewczynie swoje uwodzicielskie umiejętności. „[...] dwójce aktorów zaproponował [reżyser – przyp. aut.] zagranie ról »podwójnych« a nawet »potrójnych«. Wszystko po to, by zgodnie z intencją duńskiego filozofa jednocześnie »przeżywać i kontrolować, poddawać się sytuacji i nieustannie ją kształtować, być przedmiotem oglądu i podmiotem analizy«”. Przytaczam tu fragment recenzji Krzysztofa Miklaszewskiego z 4 grudnia 1987 roku, zamieszczonej w „Dzienniku Polskim”, aby uzmysłwić czytelnikowi, że trochę to było trudne. „Teraz pozostało ci już tylko przeniesienie na scenę heglowskiej wędrówki ducha przez dzieje?” – podsumowała po premierze Joasia Zach-Błońska, wówczas asystentka na Wydziale Teatrolologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Czemu nie” – pomyślałem ambitnie. Jako absolwent Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej miałem wtedy takie pojęcie o Heglu, że zacząłem się zastanawiać, kto zagra Ducha. Zanim doszło do premiery *Dziennika uwodziciela*, na horyzoncie pojawił się Kaziu i powiedział: „Wchodzę w to” – wchodząc do gotyckiej piwnicy przy Kanoniczej. Przy jego warunkach fizycznych możliwość zagrania uwodziciela była „propozycją nie do odrzucenia”. Poza tym Kierkegaard był genialny. Myślę, że Kaziu „lubił, nawet bardzo” być geniuszem i uwodzicielem.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że fizycznie wcale nie odbiega daleko od osoby samego Kierkegarda, który niewątpliwie utożsamiał się ze swoim bohaterem. Søren Kierkegaard był niezbyt urodziwym życiowym nieudacznikiem, chodził krzywo, wiecznie zamyślony, i miał skrzeczący głos. „To był taki, co go nie ma tu, gdzie jest”, czyli „jakusik niedzisiejsy” – tłumaczył nam na wykładzie ksiądz Tischner, który uważał, że filozofia tylko wtedy jest coś warta, gdy da się ją przełożyć na góralski.

Kiedy się Kaziu o tym dowiedział, od razu znalazł wobec siebie, jako uwodziciela, właściwy dystans. Stworzył postać wymądrzającej się, odklejonej od rzeczywistości fajtlapy. Do pracy przystąpił z właściwym sobie poczuciem humoru i cudownie się przy tym bawił. Uwodzoną została Beata Rybotycka, która właśnie skończyła studia w krakowskiej PWST i dostała się do Starego Teatru.

Do zespołu dołączyła niespodziewanie Lidia Wilk – malarka zakochana w teatrze, która wykonała wiele rysunków z przedstawień, m.in. Tadeusza Kantora i Krystiana Lupy. Pani Lidka była nieduża, za to, jak mówią górale, „kopiato”, czerwona na twarzy z emocji, zaspana i ciągle się czymś wachlowała. Wtargnęła do piwnicy na Kanoniczej jak mała lokomotywa parowa. „Potrzebuję sobie to przedstawienie narysować” – powiedziała. No cóż, skoro pani Lidka „potrzebowała sobie”, to jak tu odmówić artystce, a ci, którzy ją znali, pewnie by powiedzieli, że może byłoby to nawet odrobinę niebezpieczne. Wtedy w MDK-u na Małym Rynku trwała wystawa jej rysunków z przedstawienia mistrza Kantora, które, na wernisażu, uznał za genialne. „Potrzebuję sobie w tym zagrać. Będę rysowała na scenie w trakcie przedstawienia jak u Krystiaaana! A jak narysuję, to zrobi się wystawę. Rysunki powiesi się na ścianach jako dekorację” – zdecydowała. Bledziutki straszek przebiegł mi po plecach... „Tak jest!” – wymamrotałem. Zaczęliśmy próbę. „Potrzebuję sobie kupić nowe pudełko pasteli marki Rembrandt, takich, jakich używał Witkaaacy! Oczywiście potrzebuję sponsoora!”

Pani Lidka zasugerowała też, aby koncepcja przedstawienia odrobinę uległa zmianie; to nie myśmy mieli coś grać, a pani Lidka miała to rysować, tylko pani Lidka rysowała, a myśmy mieli to grać. Taki drobiazg. Jednak cóż, nawet Kierkegaard się zgodził. Przepraszam czytelników za tę przydługą dygresję o pani Lidce, ale ja też czasem „potrzebuję coś sobie”.

Wracamy do Kazia. Przywołana recenzja Krzysztofa Miklaszewskiego była zatytułowana *Uwodzićel doskonały*, co bardzo Kaziovi się podobało, no i cóż, taki właśnie był w tej roli. Świetną postać uwodzonej stworzyła również Beata, którą pani Lidka przedstawi-

ła jako kobietę drapieżną. Jeśli wierzyć intuicji pani Lidki, nigdy nie dałaby się uwieść, ale na jej rysunkach wszystkie kobiety miały pazury.

Odsłona czwarta

„Był człowiekiem walczącym o istnienie w teatrze, bo los go nie pieścił. A kiedy zdarzały się przestoje, jeśli nie był obsadzany, wówczas sięgał po monodram i w nim realizował swoją wizję sztuki” – napisał o Kaziu Tadeusz Malak. W swych eskapadach teatralnych Kaziu wylądował z jednym ze swych monodramów w jakimś domu kultury w Białymstoku. „Przed państwem znany, lubiany, popularny, wybitny aktor Starego Teatru z Krakowa, przepraszam, jak wasza familia?” – dopytywał się szeptem konferansjer. „Marlon Brando!” – powiedział Kaziu dumnie, czym spowodował szaleństwo na widowni.

Kaziu opowiedział mi też o swoim występie w hotelu robotniczym gdzieś na Podkarpaciu. Wchodzą i mówią w jakiej sprawie: Kaziu, oświetleniowiec i dźwiękowiec. Oświetleniowiec, jak zwykle, wszyscy biorą od razu za aktora, bo młody i przystojny. W hotelu balanga po wypłacie. Udało im się w końcu znaleźć kierownika, który o zaplanowanym występie zupełnie zapomniał. Rozkładają sprzęt, montują oświetlenie w hotelowej świetlicy. Kierownik „zorganizował” sześciu widzów, którzy z trudem trzymali się na krzesłach. Zaczyna się przedstawienie: *Lichwiarz i łagodna* według Dostojewskiego. Kaziu się skupił i wystartował. Po pięciu minutach ostatni z widzów opuszcza widownię. Kaziu siada na krzeselku i zaczyna się śmiać. Ryczy ze śmiechu.

„[...] kiedyś spotkałem go w nocy na dworcu. Miał na plecach przewieszoną torbę, z której wystawał kij. »Co tu porabiasz, Kaziu?« – spytałem. »Jadę ze swoim teatrem« – odrzekł. »A gdzie masz ten teatr?« – dopytywałem. »Na plecach« – odpowiedział i poszedł...” – wspomina Tadeusz Malak.

24 grudnia 2007 roku Kaziu wziął swój teatr na plecy i też gdzieś poszedł... Lubię sobie wyobrażać, jak siedzi na krzeselku ustawionym na obłoku i przygląda się nam ze swym filuternym uśmiechem. Właśnie w hotelu, w którym występował z *Lichwiarzem i łagodną*, znowu jest balanga po wypłacie. Jeden z robotników, którzy byli wtedy na widowni, wypada z budynku i biegnie po wódkę do pobliskiego sklepu. Nagle coś go tknęło. Podnosi głowę i widzi Kazia. Zastyga zdziwiony. „Noo co?” – pyta. „Mów mi wuju!” – woła Kaziu i się śmieje. ■

„Przed państwem znany, lubiany, popularny, wybitny aktor Starego Teatru z Krakowa, przepraszam, jak wasza familia?” – dopytywał się szeptem konferansjer. „Marlon Brando!” – powiedział Kaziu dumnie, czym spowodował szaleństwo na widowni.